I MIEJSCE

Maria Cwojdzińska

Historia mojego pradziadka Antoniego Bartoszewskiego

[…]

Gestapo zabrało pradziadka do Kościana na obecną ul. Strzelecką. Tutaj spotkał się z zabranym wcześniej przez Gestapo Janem Ogrodowskim i w wyniku różnicy zdań między nimi żołnierz Gestapo uderzył dziadka pękiem kluczy w twarz, rozcinając ją i łamiąc nos. W wyniku tego ciosu pradziadek do końca życia miał bliznę na czole i na nosie. W Kościańskim Gestapo spędził według swojej pamięci 1 dzień, ale według znalezionych świadectw – 3 dni i 8 października przewieziono go do owianego złą sławą Fortu VII w Poznaniu. Na terenie Fortu w latach 1939-1945 działał obóz koncentracyjny, więzienie policyjne Gestapo oraz obóz przejściowy. Gestapowski areszt pełnił te same funkcje, co np. warszawski Pawiak. Później został przeniesiony do Żabikowa. Pradziadek spędził w Forcie VII czas od 8 października 1943 roku do 15 lutego 1944 roku. Przez te 4 miesiące głównie był torturowany. Przesłuchania odbywały się nocą, polegały na biciu i wymuszaniu przyznania się do winy, do działalności konspiracyjnej przeciwko Rzeszy. Mama mówi, że dziadek często wspominał stosowaną także w późniejszym okresie karę polewania wodą. Pierwszy raz poznał ten szczególnie okrutny sposób właśnie w Forcie VII. Najpierw polewano więźniów gorącą wodą, aby następnie poddać ich torturze polewania lodowatą, a niekiedy tylko lodowatą wodą, co w miesiącach zimowych musiało być szczególnie przykrym doświadczeniem. Pradziadek w późniejszym życiu często narzekał na bolące stawy i reumatyzm.

15 lutego 1944 roku pradziadek został przewieziony do Żabikowa. Znajdowało się tam Więzienie Policji Bezpieczeństwa i Wychowawczy Obóz Pracy. Otoczony był podwójnym ogrodzeniem z drutu kolczastego pod wysokim napięciem oraz wieżami strażniczymi. Między drutami umieszczono dodatkowo gęste zwoje drutu kolczastego uniemożliwiające ucieczkę. Na terenie obozu istniały osobne baraki dla mężczyzn i kobiet. Pradziadek mówił, że bezpośrednio z baraków do wagonów bydlęcych, do których ich prowadzono, wiodła szeroka, prosta droga, zabezpieczona wysokim drutem kolczastym pod napięciem. Nie było żadnej możliwości ucieczki. Wszyscy byli widziani jak na dłoni. Prosta, szeroka droga do bydlęcego wagonu, a dalej nie wiadomo gdzie. W momencie, kiedy pradziadka wsadzano do bydlęcego wagonu, nie wiedział, dokąd zmierza. Pamięta, że na drogę dostali kawałek chleba i że on ten chleb zjadł, zanim dojechali do Kościana. Nie wiedział przecież jak długo pojadą ani dokąd… Pociąg sunął przez miejscowości pradziadkowi znane: Czempiń, Stare Oborzyska, Kościan… Kiedy opowiadał o tym swojemu synowi, mówił, że przejeżdżając przez Stare Oborzyska bardzo zatęsknił do domu. Pomyślał, że to ta miejscowość, do której od dziecka co roku w sierpniu całą rodziną przybywali na odpust – do Matki Boskiej Pocieszenia. Bo ze Spytkówek

do Starych Oborzysk jest zaledwie 7 kilometrów. To stacja kolejowa, która znajduje się najbliżej jego domu. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek tu wróci?

Chleb skończył się w Kościanie, a podróż trwała jeszcze 4 dni w zamkniętych wagonach bydlęcych. W Linzu, na terenie Austrii więźniowie zostali przepakowani do wagonów osobowych. Pradziadek wspominał, że nagle zetknęli się z normalnymi, podróżującymi ludźmi, a oni w tych prawie łachmanach, pilnowani przez żołnierzy zmierzali ku niewiadomemu miejscu. Potężny, granitowy kompleks obozu rozciągał się niedaleko Linzu, gdzie dorastał Adolf Hitler. Miasteczko Mauthausen rozciągało się w bardzo malowniczej okolicy na brzegu Dunaju.

[…]

Jeszcze będąc w obozie pradziadek obiecał Maryi, że jeśli przeżyje to piekło, z wdzięczności postawi ku Jej czci kapliczkę. Słowa dotrzymał. Figura powstała w miejscu, w którym mama Antoniego żegnała swojego syna Jana (brata pradziadka), który uczestniczył czynnie w walkach w czasie wojny. Jan Bartoszewski zginął w Puszczy Kampinoskiej 19 września 1939 roku. Dziś na grobie moich prapradziadków widnieje tylko tablica pamiątkowa dla Jana, bo nigdy jego ciało po śmierci nie wróciło do rodziny. Kapliczka Matki Boskiej w Spytkówkach znajduje się wśród brzóz. Wnętrze z Matką Bożą jest zamknięte, a poniżej, na pamiątkę brata Jana, znajduje się wnęka z figurą św. Jana Chrzciciela.

Napis od frontu na pamiątkowej tablicy głosi:

Wdzięczni Bogu I Matce Najświętszej Jasnogórskiej Pani Za Ocalałe Życie W Drugiej Wojnie Światowej Antoni i Krystyna Bartoszewscy.

Z tyłu figury znajduje się kolejna tablica, a na niej napis:

Kapliczkę tą ufundował Więzień Obozów Koncentracyjnych Mauthause-Gusen, VII Fortu Poznań Bartoszewski Antoni.

Nie wiem, czy można powiedzieć i zakończyć tą historię słowami, że pradziadek był twardym człowiekiem, więc przeżył. Po takich słowach czuję niedosyt. Wielu równie twardych ludzi nie przeżyło. To tylko mały wycinek prawdy. Pradziadek znalazł się w całej sytuacji przypadkiem…dwa, z pozoru nieistotne, fakty głęboko zaważyły na jego życiu. Pierwszy to rabunek w domostwie Frau Nelly Eckhert, a drugi to fakt, że pradziadek nie wyjechał na przymusowe roboty do Rzeszy Niemieckiej. Jego przeżycia w czasie wojny i dalsze, wspólne życie pradziadków są w naszej rodzinie tematem częstych, ciekawych rozmów, sporów, żartów i wspomnień. Pracę rozpoczęłam i zakończę słowami pradziadka, które zna każdy w rodzinie: „Pamiętajcie dzieci, żebyście nigdy głodni nie byli” i „Dziateczki, nie chcijcie wojny, bo nie ma nic gorszego”. To dobre i cenne słowa.

III MIEJSCE

Konstancja Petryk

Moje korzenie

Gdyby pradziadek Franciszek nie uciekł z transportu do obozu jenieckiego, gdyby mąż prababci Józefy nie zginął w Miednoje, gdyby pradziadek Stanisław poległ w walkach partyzanckich, gdyby pradziadek Antoni zginął w Powstaniu Warszawskim jak jego siostra, gdyby prababcia Józefa nie przetrwała 6 lat na Syberii nie byłabym niewysoką blondynką o niebieskich oczach, o jasnej karnacji, z niewielkim nosem i wysuwającą się bródką. To mieszanka genów, które odziedziczyłam po moich przodkach, którzy przeżyli II wojnę światową. Chcę o nich pamiętać, dlatego zanim opowiem o losach mojej rodziny, po której odziedziczyłam nazwisko przedstawię ośmioro moich pradziadków i ich losy w czasie II wojny światowej. Ich historie pokazują, jak różne bywały losy Polaków na polskiej ziemi.

W głównej części pracy opiszę historię rodziny Petryków opowiedzianą mi przez moją cioteczną prababcię Marię Laurę […] (siostrę mojego pradziadka), która w chwili wybuchu wojny miała tyle lat, co ja obecnie, czyli 12,5. Dlatego też postanowiłam opowiedzieć tę historię wcielając się w postać cioci i opowiedzieć zdarzenia tak jak widziała je dziewczynka, a później dorastająca nastolatka. W chwili wywiadu ciocia ma 92 lata i jest jedynym żyjącym świadkiem wydarzeń wojennych w mojej rodzinie *(rozmowa przeprowadzona i nagrana została 16 lutego 2019 r. we Wrocławiu).*

[…]

Franciszek Chudy

[…]

W dniu rozpoczęcia II wojny światowej pradziadek Franciszek miał 25 lat. Służył w wojskach artyleryjskich w Toruniu. Brał udział w wojnie obronnej, przeszedł cały szlak bojowy pułku, który został rozwiązany pod Warszawą (prawdopodobnie z powodu braku amunicji). Pradziadek został wzięty do niewoli. Uciekł z transportu do obozu jenieckiego, wyskakując z pociągu w okolicy rodzinnej wsi Malina. W 1941 r. pradziadek poślubił Łucję Pogodzińską, z którą w 1942 r. został w ramach akcji przymusowych wywózek pracowników do Niemiec wywieziony do pracy w gospodarstwie rolnym w okolicy Metz, a następnie wraz z żoną przeniesiony do pracy w fabryce w Andernach w powiecie Koblenz. Do kraju wrócił z żoną i dwoma synami: Lucjanem i Józefem w 1946 r.

Łucja Chudy z domu Pogodzińska

[…]

Prababcia pochodziła z domu o powstańczych tradycjach: praprapradziadek Jaroszyński walczył w powstaniu listopadowym, jego syn prapradziadek Jaroszyński walczył w powstaniu styczniowym, uciekając przed represjami zmienił nazwisko na Pogodziński i wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie urodził się ojciec Łucji pradziadek Jan Pogodziński. Jan powrócił do Polski i kupił ziemię na Kujawach, gdzie urodziła się prababcia Łucja Pogodzińska. W 1941 roku wyszła za mąż za Franciszka Chudego, a już w 1942 r. została wraz z mężem wywieziona do Niemiec na przymusowe roboty w gospodarstwie rolnym, później do pracy w fabryce w Andernach w powiecie Koblenz. Do kraju wróciła z mężem i dwoma synami: Lucjanem i Józefem w 1946 r.

[…]

Sierpień 1944

Nic nie zapowiadało, iż tego dnia odbędzie się pacyfikacja Skalbmierza. Rano 5 sierpnia mama wstała około czwartej nad razem, aby zrobić ciasto na chleb. Wstałam razem z nią. Wyjrzałam przez okno i ujrzałam całą szosę zapełnioną samochodami niemieckimi. Zbiegłam szybko na dół krzycząc, iż Niemcy oblegają Skalbmierz. Nocował wtedy u nas żołnierz z partyzantki Zbyszek Basiński z bronią. Szybko go obudziłam i powiedziałam, że musi czym prędzej uciekać. Na szczęście udało mu się wymknąć niezauważonym. Zaraz potem rozległy się strzały od strony rynku. To grupa partyzantów została zaskoczona przez Niemców w miasteczku i natychmiast rozstrzelana. Byli tam moi koledzy. Jeden z nich to powstaniec warszawski, leżący teraz zabity na progu naszego domu. Ich dowódcę Franciszka Pudo o pseudonimie „Sokół" schwytano i torturowano, w wyniku czego zmarł. Wraz z Niemcami do Skalmierza zaczęli zbliżać się Ukraińcy zebrani w oddziały SS Galizien, którzy mordowali i palili domy na przedmieściach. Niemcy rozłożyli się na rynku, przy którym mieszkaliśmy i zaczęli grać w brydża. Ja, mama, młodszy braciszek, nasz gospodarz ukryliśmy się w piwnicy. Tata z bratem byli w partyzantce. Znaleziono nas i wyciągnięto przed dom. Widziałam zabitych dookoła partyzantów. Byłam wściekła i wyglądałam na odważną. W pewnym momencie podszedł do mnie jeden z Niemców i rzekł: „Nie zadzieraj nosa, bo w nocy i tak zabiją cię Ukraińcy." Calutki dzień chodziły mi po głowie te słowa.

[…]

Może moja cioteczna prababcia nie odznaczyła się wielką odwagą, nie zasłynęła jako bohater narodowy. Jej historia pokazuje życie zwyczajnych obywateli, którzy musieli radzić sobie w czasie okrutnej wojny. Niektórzy zginęli tak jak ten fotograf, Chawa czy pięcioletni Zbyszek, niektórym dane było przeżyć. I przekazują nam historię. Ciocia Laura, w chwili rozpoczęcia wojny miała 12 lat, 18 lat, kiedy wojna skończyła się. Dorastała w najtrudniejszym czasie. Nie miała łatwego życia, ale dała radę i nie poddała się. Jedyną pamiątkę, jaką odziedziczyła po rodzicach: obrączkę ślubną mamy oraz pierścionek z brylantem ofiarowała Matce Bożej w sanktuarium na Jasnej Górze. To są moje korzenie.

WYRÓŻNIENIE

Zofia Skrzyńska

Sztafeta pamięci. Losy mojej rodziny w czasie II wojny światowej

Żyjemy w świecie, w którym często wspomina się wojnę, ogląda różne wojenne relacje i filmy w telewizji czy Internecie. Szczęśliwie, II wojna światowa zakończyła się już 74 lata temu. Mimo jednak upływu czasu jej skutki wciąż głęboko tkwią w życiu moich dziadków ze strony mamy, którzy przeżyli wojnę jako małe dzieci. Teraz są już starszymi ludźmi, ale wciąż wracają do tego czasu w swoich wspomnieniach. Z opowiadań rodzinnych również znam relację, jak przeżywali ten czas dziadkowie ze strony taty. Byli oni bardzo młodymi ludźmi wkraczającymi w życie, kiedy wojna wybuchła i pokrzyżowała ich plany. Rodzice taty (Tadeusz Jerzy i Ludmiła) już nie żyją, ale pamiętam, co mówiła ciocia Barbara z Warszawy, kuzynka dziadka. Opowiadała ona, co się działo z rodziną w czasie wojny, o czasie powstania warszawskiego, o czym uczyłam się w tym roku na historii w szkole. Opowiadała o Rudym, który mieszkał w pobliżu i miała okazję go poznać. Wspominała o bardzo dobrej znajomości miasta, topografii ulic, co przydawało się podczas ucieczki przed Niemcami. Młodzi chłopcy i dziewczyny znali połącznia między kamienicami przez strychy czy piwnice. Ta wiedza czasem dawała im szansę uratowania życia. Jeździliśmy do cioci w odwiedziny i słuchaliśmy jej opowiadań, a mama robiła notatki. Tata też pamięta relacje swoich rodziców, cioć i wujków o tym czasie i mi to przekazał. Czasem wydaje mi się to nudne i dalekie, ale rodzice mówią, że to są ważne rzeczy. Poza tym często słyszę te opowiadania na nowo, a szczególnie babcia i dziadek ciągle powtarzają swoje wspomnienia, więc nie sposób je zapomnieć.

[…]

W czasie II wojny i okupacji niemieckiej nie żyło się łatwo. W tym czasie mój pradziadek Józef (tata babci Zosi), został wywieziony na około trzy lata do przymusowej pracy do Niemiec. Najpierw dotarł do obozu przejściowego w Poznaniu, a potem do Berlina. Tam trafił do obozu Stammlager, kompania *schneiderei* czyli kompania krawców, w dzielnicy Berlinschlachtensee. W obozie tym przymuszano Polaków i innych ludzi pochodzących z krajów podbitych przez Niemcy, żeby pracowali dla niemieckiego okupanta. Pradziadek Józef był krawcem, w Polsce miał swój warsztat i zarabiał na życie całej rodziny. A w Berlinie musiał szyć mundury i ubrania dla niemieckiego wojska, był tam głównym krojczym. Prababcia Franciszka została sama w domu z dwojgiem małych dzieci: moją babcią Zosią i jej o rok starszym bratem Bolesiem. Prababcia musiała sobie poradzić sama w tej sytuacji. Nie była przyzwyczajona do ciężkiej pracy fizycznej, nigdy nie pracowała zarobkowo, zajmowała się domem i wychowaniem dzieci. Mimo, że była dość zaradna i mieszkała wówczas na wsi (w Krzemieniewie), gdzie było nieco łatwiej o żywność, trudno było o jedzenie dla rodziny. Mieszkali w części małego domu, który wyznaczyli im Niemcy. Z tego, w którym mieszkali do czasu wojny Niemcy ich wyrzucili.

Na dodatek, jak babcia często wspomina, na początku wojny okolicę, w której zamieszkiwali dotknęła powódź i cała rodzina musiała uciekać przed żywiołem. Było wtedy zimno. Stracili cały dobytek, który popłynął z wodą. Ze wspomnień babci Zosi zapamiętałam też, że pewnej nocy Niemcy zapukali do drzwi domu, a nawet walili kolbami karabinów w te drzwi i wołali po niemiecku: *aufstein! aufstein!* czyli wstawać, wstawać. Kazali się ubrać, spakować szybko i wsiąść na wóz. Całe szczęście, że prababcię wcześniej ostrzegła pewna Niemka, sąsiadka, która dowiedziała się o planach wywiezienia gdzieś prababci i powiedziała jej o tym, co może ją spotkać. Prababcia była jej wdzięczna, bo mogła się chociaż trochę przygotować. We wskazanym czasie wszyscy położyli się do łóżek już przygotowani do wyjścia. Zawieźli prababcię z dziećmi na dworzec kolejowy, gdzie wiele godzin w skwarze słońca czekali na to co będzie dalej. Babcia mówiła, że bardzo się martwiła o to, jaki będzie jej los. Prababcia Franciszka też się martwiła i myślała cały czas, co zrobić w tej sytuacji i modliła się. Znała język niemiecki, więc podeszła do Niemca, który ich pilnował i zaczęła rozmowę. Powiedziała, że jej mąż dla nich, Niemców pracuje w Berlinie, a oni chcą ją wywieźć. Pokazała zdjęcie mojego pradziadka, które właśnie otrzymała od niego w liście z Berlina i coś jeszcze mówiła. Po całym dniu niepewności i oczekiwania, Niemcy postanowili odesłać prababcię z dziećmi do domu. Byli ocaleni.

[…]

WYRÓŻNIENIE

Wiktoria Machowina

Ziemia Drawska podczas II wojny światowej. Losy moich prababć w czasie II wojny światowej

Wojna – słowo, które budzi grozę nie tylko wśród młodych ludzi, lecz także u tych bardziej doświadczonych życiowo – starszych, którzy przeżyli wojnę w latach 1939 – 1945. To okropne uczucie wiedzieć, że jutro mogę już nie żyć. Każdy z nas walczy z różnymi przeciwnościami, jednak te, które spotkały Polaków w trakcie wojny były wyjątkowo ciężkie.

O Polsce, o jej losach w czasie II wojny światowej uczymy się przede wszystkim na lekcjach historii. Są to fakty, które powodują smutek, rozgoryczenie a nawet żal. Często jednak budzi się we mnie ogromny podziw i szacunek dla tych, którzy przetrwali ten trudny dla Ojczyzny okres, Ci, którzy poświęcili część swojego życia, by uratować siebie, rodzinę, ojcowiznę.

Wspomnienia ludzi z czasów wojny nie są łatwe dla nich samych, ale są dla nas słuchających żywą lekcją historii, której nie opisuje się w żadnej książce z takim zaangażowaniem i poświęceniem. Osoby, które mają odwagę i chcą wspominać tamten czas, to żywa księga wspomnień, której kartki przegląda się z ciekawością, bez względu na częstotliwość ich odsłon.

Taką żywą księgą wspomnień z czasów II wojny światowej są moje dwie prababcie: Zosia i Halina, których wojenne opowieści pozwoliły całej mojej rodzinie poznać ich losy, a poprzez częste ich wspominanie zrozumieć, jak bardzo traumatycznym wydarzeniem była wojna dla naszych przodków. Upamiętnienie tych czasów odbywa się w mojej rodzinie poprzez wspólne rozmowy oraz podczas uroczystości rodzinnych, gdzie w formie często zabawnej naśladuje się gwarę babciną, którą posługiwano się kiedyś na Ziemi Drawskiej.

[…]

Już w pierwszych dniach września 1939 roku tereny te zajęte zostały przez Niemców, którzy zaczęli wprowadzać bardzo zdecydowanie nowe porządki. Moja prababcia została wkrótce przekazana jako robotnica przymusowa do pracy w niemieckim gospodarstwie leżącym w miejscowości Zofiowo koło Czarnkowa. Tam, jako młoda dziewczyna, nauczyła się pracy w rolnictwie: orki, sianokosów, dojenia krów. Pracowała ciężko, by wytrwać trudne chwile, a jadła i spała w oborze wśród zwierząt. Po pewnym czasie, nie mogąc wytrzymać trudnych warunków, uciekła od niemieckiego gospodarza. Niedługo cieszyła się domem rodzinnym, do którego wróciła po ucieczce. Po kilku dniach, najprawdopodobniej w wyniku donosu, została przymusowo wywieziona do Niemiec. Był 1943 rok, kiedy przewieziono ją

pociągiem do Arbeitslager niedaleko Nordhausen w Turyngii. Tam wykąpano ją, zgolono wszystkie włosy i przygotowano do segregacji.

Kiedy stała w kolejce do swoich dalszych losów w Jej głowie kołatała się jedna myśl: „Na pewno – ja wątła i mała idę do pieca" w niedalekim obozie Dora-Mittelbau. Okazało się, że los chciał, by żyła dalej. Wiedziała, że nie będzie jej łatwo przetrwać tę gehennę. Przydzielono ją do pracy, u niemieckiej rodziny Theuring w Wettelrode. Pracowała tam do końca wojny. Sprzątała i gotowała. Najcenniejszą Jej umiejętnością w tym czasie było robienie na drutach. Jak mówiła dzień i noc „więzła" swetry, czapki, rękawiczki, szale i skarpety, które Niemcom ułatwiały przetrwanie srogich zim. Jej ciężka praca sprawiała, że gospodarze traktowali ją z uznaniem, lecz rozłąka z najbliższymi była nieznośnie bolesna.

[…]

Przyszedł rok 1943. Do urzędu w Drawsku przyszła informacja, że nastąpi podział polskich rodzin, a następnie skierowanie Polaków do przymusowej pracy na ziemiach włączonych do III Rzeszy Niemieckiej. Prababcia Halina została przydzielona na służbę do niemieckiej rodziny w gospodarstwie po wysiedlonych Polakach. Na początku pracowała w miejscowości, w której mieszkała – w Drawsku. Tam, po całodziennej pracy zmęczona wracała na noc do rodzinnego domu, by się przespać, a następnie rano wrócić do ciężkiej pracy. Czas upływał, aż pewnego dnia otrzymała informację, że zostaje przekazana do pracy do niemieckiej rodziny w Rosku, koło Czarnkowa. Znalazła się tam na zasadzie wymiany z inną dziewczyną, która nie dawała już rady przy ciężkiej pracy na roli. Jak wspomina Prababcia: „to był czas trudny i męczący". Pojawiały się chwile ogromnej tęsknoty za domem, za rodziną, oraz momenty ogromnych przykrości, których doświadczała ze strony Niemców. Doszło do sytuacji, w której naruszona została jej prywatność, intymność. To były najbardziej nieludzkie chwile w Jej życiu, pełne łez, żalu i zwątpienia.

[…]

WYRÓŻNIENIE

Norbert Maćkowiak

Historia żołnierza września 1939 roku, mojego pradziadka – Józefa Sowijaka

[…]

Pewnego dnia niewolnik Józef otrzymał list z Polski. Nie mógł go otworzyć od razu, lecz tylko wtedy, gdy zezwolą „państwo". Oni zaś, kazali go przeczytać w ich obecności, na strychu, przy zasłoniętych oknach. Było w nim napisane przez rodziców, że pradziadka najstarszy brat – Stachu, nie żyje. Był on nauczycielem, miał więc delikatne dłonie. Podczas łapanki wystarczyło to Niemcom, aby go zabić. Niemiecka rodzina słuchała i niedowierzała, że tak postępują ich żołnierze. Jednak wkrótce dowiedzieli się o śmierci swojego syna – żołnierza SS, pod Stalingradem. Wtedy i oni doznali okrucieństwa wojny, która nie oszczędzała nikogo, a losy ludzi łatwo się odwracały.

W 1940 roku Józef Sowijak został zwolniony do cywila. Musiał podpisać zobowiązanie, że jest gotowy do wykonywania każdej powierzonej mu pracy, nie opuszczać miejsca pobytu, wystarać się w ciągu 8 tygodni o cywilne rzeczy z Polski, a niemieckie oddać w najbliższym Posterunku Policji.

W ten sposób całą wojnę przeżył w Niemczech. Na własnej skórze doświadczył chłodu, głodu i pracy ponad siły, strachu, bombardowań, nalotów i wszystkiego, co niosła ze sobą wojna. W chwilach grozy jedynym ratunkiem i nadzieją były modlitwa i medalik z Polski. Moja mama opowiadała mi, że gdy była na wakacjach w Bukówcu u dziadka Józefa i babci Weroniki, to widziała medalik na ich szyjach zawsze. Pradziadek i prababcia poznali się właśnie w Niemczech na przymusowych robotach. Często się widywali i w 1945 roku, gdy wrócili po wielu przeżyciach do Polski, postanowili wziąć ślub i zamieszkać w Bukówcu Górnym w rodzinnym domu Weroniki Sowijak z domu Kruk. W czasie podróży Polaków pociągiem z Niemiec do Polski, mama opowiadała, że babcia się poparzyła zupą, która wylała się z kotła na jej nogę, kiedy to pełniła dyżur w kuchni polowej. Mimo bólu musiała stać przy gorącym kotle. Wtedy to pradziadek przychodził i wyręczał ją z powierzonego zadania. Był on bardzo dobrym człowiekiem. Mama bywając u nich, widziała jak zimą pierwszy wstawał z łóżka i brał babci kapcie i grzał w piekarniku od angielki i dopiero ciepłe jej podawał.

Wracając z Niemiec do Polski, otrzymali zaświadczenia w punkcie przyjęcia w Dziedzicach, że w celu powrotu do Brąszewic, a dalej do Bukówca Górnego, mają prawo do jednorazowego, darmowego korzystania ze wszelkich środków lokomocji. Wypłacono też zapomogę w wysokości 100 złotych na rozpoczęcie nowego życia.

[…]